

Hajfa, wrzesień 2006

To będzie opowiadanie o moim bł. Pam. Ojcu, zmarłym dokładnie 15 lat temu, wrześniowego poranka 1991 roku. Ale ja nie chcę wspominać tej strasznej chwili, w której zostałem naprawdę zupełnie sam, utraciłem ostatnią wątlą nić łączącą mnie z przeszłością. I stało się jasne, że od ojca już niczego się nie dowiem, że tylko cud może sprawić to, że poznam prawdę o moim losie, o życiu żydowskiego dziecka urodzonego, jak się to poetycko określa, w czarną noc hitlerowskiej okupacji. Następne lata dowiodły, że liczenie na cud wcale nie jest takie głupie jak się wydaje i że łaskawość B-ga, Ha-Szem może być równie wielka jak moja rozpacz po stracie taty. Jakiś nie dający się racjonalnie wytłumaczyć ciąg wydarzeń dziejących się jeden po drugim w różnych miejscach ziemskiego globu spowodował, że w okresie kilku lat prawie wszystkie fakty z mojej mrocznej przeszłości zostały wyjaśnione, że mogłem wrócić do prawdziwej tożsamości, odzyskać ją po prawie pół wieku życia ze zmyślonym życiorysem.

Tytuł tego opowiadania to jednocześnie nazwa modnego przed wojną argentyńskiego tanga. Kto je dziś jeszcze pamięta? Ja, czyli nikt. Widzę mojego tatę siedzącego przy fortepianie w naszym pięknym, częściowo umeblowanym przez fryców, a częściowo tym, co się udało kupić z szabru, mieszkaniu w Bytomiu. Mieszkaliśmy w jednym z budynków przy dawnym Adolf Hitler Platz. Zostały zbudowane jako mieszkania dla Gestapowców, którzy urzędowali w dużym budynku zamykającym plac, teraz mieści się tam jeden z wydziałów Akademii Medycznej. Cały plac do dzisiaj jest zarośnięty drzewami. Są to przeważnie dęby, które tak lubili przywódcy Trzeciej Rzeszy. Niedaleko, na targach staroci można w każdą pierwszą sobotę i niedzielę miesiąca obejrzeć lub zakupić na własność hitlerowski *Krzyż Żelazny z Dębami*, ale zalecałbym ostrożność, większość egzemplarzy to podróby.

Na środku placu, na wysokim betonowym cokole leżał odlany w spiżu lew, którego rycząca morda była skierowana *Drang Nach Osten*, na wschód. Podobne lwy ozdabiały ulice większości niemieckich miast, Bytom nie mógł być wyjątkiem, należał do Trzeciej Rzeszy. W starożytnym Rzymie takie lwy, tyle, że wygłodzone pożerały chrześcijan, w dwa tysiące lat później musiały się zadowolić Żydami z Getta. Marny to był łup, skóra i kości. Jako grzeczne dziecko mogłem tylko z okna patrzeć jak na początku lat pięćdziesiątych rozbijano ten pomnik, teraz w tym miejscu jest fontanna z amorkami.

A więc mamy lata pięćdziesiąte, tata gra to nieśmiertelne tango *La Cumparsita* na krótkim fortepianie firmy Bechstein przywiezionym z Sambora, niedużego, liczącego 30 tys. mieszkańców miasta niedaleko Lwowa, gdzie się udzielał jako lokalny Playboy. Przystojny był,

oczy jak u modnego aktora Roberta Taylora i uśmiech zniewalający damskie serca. Teraz atrybuty Playboya to;

*skóra, fura i*

*komóra*

. Tamten przedwojenny Playboy to była po prostu wysoka kultura, dowcip, elegancja w dobrym stylu, najlepiej angielskim,

*tek*

. Gdzie dziś można spotkać te kapelusze, getry pumpy, muchy i krawaty w szkocką kratkę, krótko przystrzyżony, wypielęgnowany wąsik, sygnet z czarnym oczkiem na serdecznym palcu lewej dłoni. I te dłonie pianisty, straszny wabik na kobiety.

Ze zdjęcia wykonanego 12 sierpnia 1939 roku patrzy na mnie twarz 31-letniego mężczyzny bez wyraźnych semickich rysów. Ja także w młodości nie wyglądałem na Żyda, a teraz kiedy pytam żony jak wyglądam, ona odpowiada, że jak Czech. Jaki Czech, pytam. Nie Czech durniu, tylko trzech Żydów w kupie-tak wyglądasz. Człapię do lustra, no faktycznie coś się na stało z moją twarzą. Dobrze, że od wojny minęło sporo czasu bo z takim wyglądem byłbym pewnym kandydatem do gazu. Teraz gaz jest tylko w kuchence. Czasem, jak któremuś z nas znudzi się codzienne oglądanie w lustrze jego żydowskiej mordy, to otwiera sobie gaz i nie zapala, a nuż się uda. Cóż z a niestosowność panie Żydzie; tak umierać w tym gazie jak miliony w czasie wojny?. Nie lepiej nażreć się tabletek i dla pewności zapić wodą. Ćwiczyłem ten numer, a jakże ćwierć wieku temu. I co? I nic, wyrzygałem wszystko jak kot i przez to teraz męczę czytelników moimi opowieściami. A mogło być tak pięknie; cisza, spokój, zero problemów. Taki to mój pech.

No cóż, wracajmy do gabinetu ojca bo już słyszeć kolejny utwór w jego wykonaniu; *Tango Milonga*.

Znał tych tang dużo. Jednego tylko nigdy nie zagrał;

*Ta Ostatnia Niedziela*

. Bo w naszym domu miało być wesoło i szlus.

W drugim pokoju stało dobre wiedeńskie pianino kupione od szabrowników. To był tylko mój instrument, fortepianu nie lubiłem, bo trzeba było mieć sporo krzepy żeby porządnie na nim zagrać, a ja nigdy nie byłem za silny, w szkole miałem ksywę jajko. Starzy posyłali mnie na lekcje muzyki do emerytowanej pani profesor. Straszna to była piła, dzięki niej do dziś mam wstręt do muzyki klasycznej. Przez to granie mało mnie nie wyrzucono ze szkoły bo zamiast ćwiczyć fragmenty V symfonii Beethovena aby zagrać na uroczystym apelu ku czci towarzysza Stalina ja, zamknięty w Sali do nauki śpiewu grałem modne *boogie-woogie* aż szyby drżały. Na to wpadł dyro i zastał mnie przy pianinie, a moich koleżków z klasy w trakcie tradycyjnego obmacywania dobrze już rozwiniętych koleżanek. Zrobiła się afera, gdyby nie mój papcio, członek egzekutywy komitetu partii wylano by nas z budy jak nic. Stary miał w Komitecie partyjnym mocną pozycję jako członek przedwojennej KPP i ten, który pisze przemówienia

pierwszemu sekretarzowi. Sekretarz był półanalfabeta, ale miał słuszne, robotnicze pochodzenie. Przez to cholerne granie najpierw na fortepianie, a potem na gitarze długo nie mogłem stracić cnoty bo na prywatkach miałem zajęte ręce. Gdy byłem już dorosły tłumaczył mi taki drugi zdolny; Co się k... dziwisz, my muzycy zawsze mamy najgorzej: Goście proszą żeby grać, a jak w przerwie przelecisz jakąś panienkę to od razu jest afera.

Kiedy obserwowałem cnotliwe życie mojego synalka w latach, gdy chodził do szkoły, to mi go było szczerze żal. Ja w liceum przez cztery lata nie darowałem żadnej soboty w karnawale. W każdym liceum, a było ich w Bytomiu w sumie pięć, odbywały się kolejno potańcówki. Gdzie te czasy. Teraz tylko studniówka, czasem bal maturalny i fora ze dwora. Nas nie dało się tak łatwo pozbyć, co bardziej cwani repetowali klasę by mieć nowe koleżanki do macanki i czas niezbędny aby się wyszumieć. A co teraz szumi naszej młodzieży? Wentylator w komputerze.

Ale co tam ja, papcio, ten to dopiero miał dobrze! O tym co wyrabiał w Samborze dowiedziałem się już po jego śmierci od dawnego znajomego, nauczyciela języka niemieckiego Leona Helda, który ożenił się z Ukrainką i nie wyjechał w 1945 roku do Polski jak my wszyscy. Ten 90-latek tak barwnie opowiadał o moim starym jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj, a nie 70 lat temu.

Zeznał m. innymi, że tate miał *flower*, jak nazywano wtedy z angielska wiatrówkę czyli karabin na śrut. Z tego *flowera* wczesnym rankiem, gdy starsze i młodsze Żydówki wносиły na ganki/ tak nazywano balkony/ pełne po nocy porcelanowe nocniki strzelał, a oko to on miał panie kochany, że pozazdrościć. Taki rozbity nocnik z rozlaną po balkonie zawartością to żadna radość dla gospodyni. Wkrótce oburzone kobitki gnały do rabina by uspokoił wandalę. Ale *tate* do synagogi nie zachodził, taki bardziej niewierzący był, dlatego poranne strzelanie ustało dopiero, gdy babcia zmyła mu głowę.

Była też w Samborze drużyna piłki nożnej, duma całego miasta, *Sokół* się nazywała. Ojciec był wysportowany; grał w tenisa, pływał wpraw i kajakiem. Chyba dlatego gdy przed decydującym o wejściu do ligi okręgowej meczem zachorował nagle obrońca to właśnie tacie zaproponowano by zagrał *na byku*-tak wtedy nazywano obronę. Oczywiście *tate* jako dobrze wychowany młody człowiek, a przy tym żydowski *wunderkind*, przekonywany od małego, że wszystko potrafi zgodził się natychmiast.

*Ta panie, ta pan wiesz co to był za mecz. Pana tatuś, ta piłkarzem to on chyba nie był, ale co to za sprytna bestia. On panie nic, ino wykopywał piłkę za boisko. Piłka na trybunach, sędzia wrzeszczy żeby oddać, kibice ni cholery oddać nie chcą, przeciwnik lata po boisku wnerwiony, no mówię panu istny cyrk nie mecz. No i co pan powiesz, wygraliśmy jeden do zera, a pana tatę kibice na rękach nieśli do szatni. Ale więcej już nie zagrał, podobno żona mu zabroniła.*

Nic dziwnego, pomyślałem. Mamusia, córka niebiednego kupca ze Lwowa nie mogła się zgodzić by jej ślubny latał w krótkich gatkach po boisku i miał zajętą każdą niedzielę.

Przenieśmy się teraz w połowę lat 50-tych. Regularnie dwa razy do roku wyruszaliśmy całą rodziną na wczasy do Zakopanego lub Krynicy. W sumie nie było nas mało; osiem osób z czego tylko jedna, druga żona ojca nie była Żydówką, wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Stryj/brat ojca/ Witek, zjeżdżał z Krakowa z żoną Janką, która jedyna ocalała ze znanej tarnowskiej rodziny Margulies. Następny był kuzyn ojca, pułkownik Jerzy Rowiński, rektor Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Przyjeżdżał razem z żoną i synem, ruchliwym jak wesz Januszkciem. My, to znaczy tato, jego druga żona i ja przyjeżdżaliśmy z Bytomia obładowani jak zawsze damskimi ciuchami.

Dzieci, czyli kuzynek Janusz i ja, robiliśmy wszystko by *starym* te wczasy maksymalnie obrzydzić. Ja na ten przykład zabierany byłem na popołudniowe fajfy lub wieczorne dansingi, bo bałem się zostać sam w pokoju. Gdy tylko rodzice szli tańczyć wybiegałem na parkiet i wbijałem się między nich łbem, albo pętałem się pod nogami. Być może byłem podświadomie zazdrosny o drugą żonę ojca, przystojną brunetkę młodszą od niego o dziewięć lat. Nazywają to kompleksem Edypa i jest na ten temat stary, żydowski dowcip:

*Przychodzi młoda, dobrze zbudowana jidysze mame do doktora i pyta dlaczego nieletni synalek ją obmacuje. Lekarz mówi krótko; to pewnie kompleks Edypa. Poczciwa mame spogląda na konowała niczego nie rozumiejąc i stwierdza; E tam, Edyp, szmedyp, grunt żeby dziecko kochało mamusię, ot co!*

Po tej krótkiej dygresji czas wracać na parkiet krynickiej Patrii lub zakopiańskiego Morskiego Oka. W czasie gdy ja się zmagalem z Edypem, kuzyn Januszek, istne półdiabło czołgał się pod stolikami i gryzł gości lokalu po nogach nie oszczędzając nikogo. Nie wiem jaki kierował nim imperatyw, może chciał zwiększyć frekwencję na parkiecie i tak nabitym do granic możliwości. Ktoś w końcu dopadał małego gryzonia i wyciągał go spod obrusa z triumfalnym: Mam go! Wtedy do akcji wkraczał tatuś Januszka, lekarz-pułkownik w mundurze z baretkami licznych medali wojskowych. Zdobył je za Kampanię Wrześniową i Powstanie Warszawskie gdy jako chirurg uratował życie wielu rannych operując ich pod ogniem wroga. Mówili, że nigdy mu nawet powieka nie zadrżała gdy obok padały bomby. Teraz też był spokojny, wstawał z krzesła i z

wysokości/ miał chyba metr dziewięćdziesiąt wzrostu/ grzmiał na śmiałka, który upolował Januszka: *A szanowny pan czego sobie życzy, nie widzi pan, że to jeszcze dziecko, hę?* Tak to sobie zapamiętałem. A Januszka już dawno nie ma: Kiedy poszedł na medycynę też spokojnie nie usiedział. Pewnej zimowej nocy

*rajdowa*

I z kumplem po oblodzonych ulicach Łodzi, wpadli w poślizg, wylądowali na słupie, nie było co zbierać. Przez całe dziesięciolecie po jego śmierci byłem przekonany, że z mojego pokolenia naszej rodziny zostałem tylko ja. Aż tu w 2002 roku odnalazły się dwie kuzynki ojca mieszkające od ponad pół wieku w Izraelu i się okazało, że mam czterech kuzynów. Ale oni nie uważają, że jesteśmy rodziną, żyją dniem dzisiejszym, przeszłość ich nie interesuje. A ja już półtora roku mieszkam w Izraelu, w tym samym mieście, co jedna z dwu odnalezionych cudem przed sześciu laty kuzynek taty, ciotka Hela. Jestem tu z żoną, którą poznałem cztery lata temu na obozie Fundacji Laudera. Ta skromna, żydowska panienka młodsza ode mnie o całe osiemnaście lat dopiero teraz widzi jakie szczęście ją spotkało; mąż stary opój i wariat, niespełniony muzyk i literat. Trudno, sama chciała. Bo mówiąc między nami, to w życiu jest tak, że;

*panie wybierają panów*

- jak przy białym tangu. I tak wróciliśmy do tytułowego tanga

*La Cumparsita.*

Czasem zdarza mi się je usłyszeć i wtedy choć na chwilę przenoszę się myślą w czas dzieciństwa.